

Milena Michiko Flašar *Nazwałem go Krawat*

Milena Michiko Flašar

Nazwałem go Krawat

Z niemieckiego przełożyła
Barbara Bruks

Oficyna Lustro Warszawa 2021

Po raz pierwszy opublikowano w Niemczech pod tytułem:

Ich nannte ihn Krawatte

© 2012, 2020 Verlag Klaus Wagenbach, Berlin

© 2021 for the Polish edition Oficyna Lustro

© 2021 for the Polish translation Barbara Bruks

ISBN 978-83-959862-1-5

Tłumaczenie: Barbara Bruks

Konsultacja japońska: Anna Wołczyrz

Redakcja: Anna Waszkiewicz

Korekta: d2d.pl

Projekt typograficzny, skład i projekt okładki: Robert Oleś / d2d.pl

Złożono krojem Nexus Serif Pro

Projekt obwoluty: Rafał Kucharczuk

Zdjęcie autorki: Helmut Wimmer

Lustro

ul. Filtrowa 65 lok. 26

02-055 Warszawa

oficynalustro.pl

tel. +48 696 696 366

Dla Krisa

[...] *jakże wycofany jesteś z tego świata,
który jest piękny i może ma sens,
jakże wykluczony ze wszelkiej naturalnej doskonałości,
jakże samotny w swej pustce,
jakże obcy i głuchy w tej ogromnej ciszy [...]*

Max Frisch, *Antwort aus der Stille* [Odpowiedź z ciszy]

1

Nazwałem go Krawat.

Spodobało mu się to imię. Śmiał się, kiedy je usłyszał.

Czerwono-szare paski na jego piersi. Tak chcę go zapamiętać.

2

Minęło siedem tygodni, odkąd widziałem go po raz ostatni. Przez tych siedem tygodni trawa zdążyła wyschnąć i pożółknąć. Na drzewach grają cykady. Pod moimi stopami chrzęści żwir. W jaskrawym słońcu południa park sprawia dziwne wrażenie opustoszałego. Ciężkie od kwiatów gałęzie uginają się ze zmęczenia. Bładoniebieska chustka w zaroślach, nieporuszana ani jednym powiewem wiatru. Powietrze przyciska wszystko do ziemi. Sam czuję się przygnieciony. Żegnam się z tym, który już nie przyjdzie. Wiem to od wczoraj. Nigdy już nie przyjdzie. Nade mną rozpościera się niebo, które go pochłonęło – na zawsze?

Jeszcze nie mogę uwierzyć, że nasze pożegnanie było ostateczne. Wyobrażam sobie, że mógłby zjawić się w każdej chwili, może jako ktoś inny, może z inną twarzą, rzucić mi spojrzenie mówiące: to ja. Skierować głowę na północ, z uśmiechem odprowadzać wzrokiem chmury. Mógłby. Dlatego tu siedzę.

To nasza ławka, ta, na której siedzę. A zanim stała się nasza, była moja.

Przyszedłem tutaj uświadomić sobie, że rysa na ścianie, to cieniutkie ukośne pęknięcie nad regałami, istnieje na zewnątrz tak samo jak w środku. Wpatrywałem się w nią dwa lata. Całe dwa lata w moim pokoju w domu Rodziców. Za zamkniętymi powiekami odtwarzałem łamaną linię. Przebiegała przez moją głowę, wchodziła do żył i serca. Sam stałem się bezkrwistą kreską. Miałem trupio bladą skórę, bo nie padało na nią słońce. Czasem tęskniłem za jego dotykiem. Wyobrażałem sobie, jak by to było: wyjść na zewnątrz i w końcu zrozumieć, że są takie przestrzenie, których się nigdy nie opuszcza.

Pewnego lutowego poranka uległem tej tęsknocie. Przez szczelinę między zasłonami dostrzegłem stado wron. Wzlatywały w górę i opadały, słońce na ich skrzydłach raziło mnie w oczy. Z kłującym bólem przesunąłem się po omacku wzdłuż ściany do drzwi, popchnąłem je, włożyłem płaszcz i buty, o numer za ciasne, wyszedłem na ulicę. Mijałem domy i place. Mimo zimna po czole ściekał mi pot i odczułem dziwną satysfakcję: Jeszcze to umiem. Umieję stawiać krok za krokiem. Nie zapomniałem, jak to się robi. Wszystkie wysiłki, żeby zapomnieć, poszły na marne.

Nie próbowałem się oszukiwać. Nadal chodziło mi o to, żeby być samemu. Nie chciałem nikogo spotkać. Spotkać kogoś znaczy uwikłać się, wplątać. Zawiązuje się niewidzialna nici. Między jednym człowiekiem a drugim. Mnóstwo nici. Wzdłuż i wszerz. Spotkać kogoś znaczy wpleść się w jego tkanekę, a tego wolałem unikać.

4

Kiedy myślę o tym pierwszym wyjściu na przepustkę... Bo tak musi czuć się więzień, z okratowanym spojrzeniem, noszący celę ze sobą: dobrze wie, że nie jest wolny. A więc kiedy przypominam sobie tę pierwszą przepustkę, odnoszę wrażenie, że byłem wtedy postacią wyjętą z czarno-białego filmu przemierzającą barwną scenerię. Wokół mnie krzyczały kolory. Żółte taksówki, czerwone skrzynki na listy, niebieskie billboardy. Ich głośność mnie ogłuszała.

Z postawionym kołnierzem skręcałem w boczne uliczki, uważając, żeby nie potknąć się o czyjeś nogi. Strach mnie ogarniał na myśl, że nogawką spodni mógłbym musnąć kraj czyjegoś płaszcza. Mocno przycisnąłem ręce do boków i rzuciłem się biegiem, nie rozglądając się na lewo ani prawo. Najbardziej przerażała mnie wizja dwóch spojrzeń, które w każdym momencie mogły o siebie przypadkowo zahaczyć. Zatrzymać się w sobie na długie sekundy. I już nie dać się rozerwać. Okropne mdłości. Wypełniły mnie, jakbym był naczyniem. Po brzegi. Im dłużej biegłem, tym silniej odczuwałem własny ciężar. Moje parujące ciało pośród wielu innych. Ktoś mnie potrącił. Nie mogłem dłużej wytrzymać. Zaciśnięm usta dłońią, pobiegłem do parku i zwymiotowałem.

5

Znałem ten park i znałem też ławkę pod cedrem. Odległe dzieciństwo. Matka przywoływała mnie skinieniem, sadzała sobie na kolanach i palcem objaśniała mi świat. Zobacz, wróbel! Naśladowała jego głos: ćwir, ćwir. Czułem jej oddech na swoim policzku. I łaskotanie na karku. Matczyne włosy delikatnie powiewały na wietrze. Kiedy jest się małym dzieckiem,

dość małym, by wierzyć, że wszystko zostanie tak na zawsze, świat jest przyjaznym miejscem. Przeszło mi to przez myśl, kiedy ją rozpoznałem. Ławkę z mojego dzieciństwa. Ławkę, na której miałem się nauczyć, że nic nie pozostaje takie, jakie jest, i że mimo to opłaca się być na świecie. Nadal się tego uczę.

Powiedziałbym, że to była decyzja.

I rzeczywiście zdecydowałem się przeciąć trawnik i podejść do ławki. Stałem przed nią otoczony tylko przez ciszę. Nikt mnie nie przyłapał na tym, jak okrążałem ławkę – jeden raz, drugi, wędrowałem wokół niej, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi. Ten smak w ustach, kiedy wreszcie na niej usiadłem. Pragnienie, żeby znowu być dzieckiem. Znowu patrzeć oczami pełnymi zdumienia. Myślę, że to właśnie moje oczy rozchorowały się jako pierwsze. Serce podążyło za nimi później. Siedziałem tak na ławce, w zdecydowanie za cienkich ubraniach. Jeszcze cieńsza była moja skóra, pod którą drżałem z zimna.

6

Odtąd ciągnęło mnie tam każdego ranka. Przyglądałem się, jak pada śnieg, przyglądałem się, jak topnieje. Szemrzące strugi. Wraz z wiosną pojawili się ludzie i głosy. Siedziałem, zaciskając zęby. Czułem dławienie w gardle. To była ta rysa na ścianie. Oddzielała mnie od tych, którzy byli wplątani. Powolnym krokiem minęła mnie, szepcząc, zakochana para. Tajemne słowa, które dobiegły moich uszu, brzmiały obco jak frazy nieznanego języka. Jestem szczęśliwa, usłyszałem, niewypowiedzianie szczęśliwa. Lepkie mlaśnięcie języka. Zrobiło mi się niedobrze, z trudem przełknąłem ślinę.

Czy ktoś mnie zauważył, nie sądzę, a nawet jeśli, to tak jak zauważa się ducha. Człowiek go widzi, jasno i wyraźnie, ale nie chce uwierzyć i mruga, aż widmo zniknie. Byłem takim

duchem. Nawet Rodzice ledwie mnie dostrzegali. Kiedy spotykałem ich w domu przy wejściu albo na korytarzu, szeptali z niedowierzaniem: ach, to ty. Dawno już przestali uznawać mnie za swojego. Straciliśmy naszego syna. Umarł, zanim nadszedł jego czas. Tak to pewnie odczuwali. Jako żywy brak. Stopniowo się z nim jednak pogodzili. Żałoba, w której może i byli na początku pogrążeni, ustąpiła przekonaniu, że odzyskanie mnie nie leży w ich mocy, i jakkolwiek dziwna była to dla nich sytuacja, nawet nad tą dziwnością przeszli wkrótce do porządku. Mieszka się obok siebie pod jednym dachem i tak długo, jak nic nie wydostaje się na zewnątrz, uznaje się to po prostu za normalne, mieszkać tak pod jednym dachem.

7

Dzisiaj rozumiem: to niemożliwe, żeby nikogo nie spotkać. Już przez to, że człowiek istnieje i oddycha, spotyka cały świat. Niewidzialna nić wiąże go z innymi od momentu urodzenia. Żeby ją przeciąć, potrzeba czegoś więcej niż tylko śmierci. I nie ma sensu się z tym nie zgadzać.

Kiedy on nagle się zjawił, nie miałem jeszcze pojęcia.

Powiedziałem, że się zjawił. Bo tak też było pewnego majowego poranka. Siedziałem na mojej ławce, z postawionym kołnierzem. Gołąb wzbijał się w powietrze. Od łopotu jego skrzydeł zakręciło mi się w głowie. Zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, on już tam był.

Salaryman*. Pięćdziesiąt parę lat. Miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i krawat w czerwono-szare paski. W prawej ręce ścisnął aktówkę z brązowej skóry. Wymachując nią wte i wewte, siedział z przygarbionymi ramionami i głową odwróconą w drugą stronę. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Nie patrząc na mnie, usiadł na ławce naprzeciwko. Założył nogę na

nogę. I tak zastygł. W bezruchu. Z odwróconą, napiętą twarzą. Na coś czekał. Coś, co powinno się wydarzyć. Za moment, za moment. Dopiero stopniowo jego mięśnie zaczęły się rozluźniać, jeden za drugim, i z westchnieniem oparł się na ławce. Z westchnieniem, w którym było to coś, co się nie wydarzyło.

Przelotnie spojrzął na zegarek, zapalił papierosa. Kółka dymu wzbijały się w górę. Taki był początek naszej znajomości. Ostry zapach w moich nozdrzach. Wiatr przywiał do mnie dym. Zanim się sobie przedstawiliśmy, zapoznał nas ze sobą ten podmuch wiatru.

8

Czy chodziło o to westchnienie? A może o sposób, w jaki strzepywał popiół? Zatopiony w myślach, zapomniany przez samego siebie. Nie wahałem się go obserwować, kiedy tak siedział naprzeciwko mnie.

Obserwowałem go jak znajomy przedmiot, jak szczoteczkę do zębów, gąbkę, kostkę mydła, nagle widzi się je jakby pierwszy raz, w całkowitym oderwaniu od ich przeznaczenia. Być może właśnie to wrażenie czegoś znajomego wzbudziło moje szczególne zainteresowanie. Jego wyprasowany wizerunek nie różnił się od tysięcy innych, które dzień w dzień wypełniają ulice. Wylewają się z wnętrza miasta i znikają w wysokich budynkach, w których oknach niebo rozpada się na kawałki. Są czystą przeciętnością, typowi w swojej niepozorności. Ogolone twarze przedmieść, bliźniaczo podobne. Ten na przykład mógłby być moim ojcem. Czyimkolwiek ojcem. A jednak to właśnie on tu był. Tak jak ja.

Znowu westchnął. Tym razem ciszej. Kto wdycha w ten sposób, pomyślałem, ten nie jest po prostu trochę zmęczony. Bardziej to poczułem, niż pomyślałem. Czuję, że to jeden

z tych zmęczonych życiem. Krawat ścisnął mu gardło. Poluźnił go, spojrzął znów na zegarek. Dochodziła dwunasta. Wypakował bento*. Ryż z łososiem i marynowanymi warzywami.

9

Jadł powoli, przeżuując dziesięć razy każdy kęs. Miał czas. Siorbał mrożoną herbatę małymi łyčzkami. Przyglądałem mu się i przy tej czynności. Już prawie nie dziwić się samemu sobie. Bo w tamtym czasie było to dla mnie właściwie nie do zniesienia, żeby przyglądać się komuś, kto je albo pije. On robił to jednak z taką ostrożnością, że zapomniałem o nudnościach. Czy może raczej: czynił to z pełną świadomością tego, co czyni, przez co najwyczejniejsze działanie zamieniało się w coś doniosłego. Spożywał każde ziarnko ryżu z osobna, każdemu poświęcał się w równej mierze z uśmiechem wdzięczności na twarzy.

Gdyby to był ktoś inny, dawno już bym wstał i uciekł, dostrzegł zagrożenie w mielących ruchach szczęki, w rozdrabniających pokarm zębach. Przerazało mnie, jak raz za razem coś znikowało w ustach i ześlizgiwało się do żołądka. Sam przełykałem szybko i bez zastanowienia. Wewnętrzny przymus, by mimo wszystko utrzymywać się przy życiu, był dla mnie zagadką, której zgłębiania starannie unikałem. Nad tym lepiej się nie zastanawiać.

Kiedy skończył jeść, znów zamienił się w zwykłego salarymana. Otworzył gazetę i zaczął czytanie od rubryki sportowej. Giants*, wydrukowaną tłustymi literami, odnieśli triumfalne zwycięstwo. Kiwał głową z zadowoleniem, wodząc palcem wzdłuż linijek artykułu. Obrączka. Był więc żonaty. Żonaty fan Giantsów. Znowu zapalił papierosa. A potem jeszcze jednego, i jeszcze jednego, aż spowił go gęsty dym.

Jego obecność sprawiła, że park się zmniejszył. Składał się teraz już tylko z dwóch ławek, jego i mojej, i tych kilku kroków, które nas dzieliły. Kiedy wstanie i pójdzie? Słońce zawędrowało ze wschodu na zachód. Ochłodziło się. Skrzyżował ramiona na piersiach. Gazeta leżała rozłożona na jego kolanach. Gromada hałaśliwych dzieci przetoczyła się przez trawnik. Dwie starsze panie rozmawiały o swoich chorobach. Takie jest życie, powiedziała jedna, człowiek rodzi się, żeby umrzeć. Zasnął. Ciężka głowa. Gazeta sfrunęła na ziemię. To może się skończyć w każdej chwili, usłyszałem, czasem w ogóle już nic tu w środku nie czuję.

Jego twarz się rozluźniła. Srebrzyste pasma na czole, pod powiekami ścigały się sny. Drżenie nóg. Coś poczułem, coś cienkiego jak strużka śliny, która zwisała z jego otwartych ust. Ale nie potrafiłem jeszcze znaleźć na to słowa. Dopiero teraz przychodzi mi do głowy. Współczucie. Albo nagły impuls, żeby go przykryć.

Kiedy w końcu się obudził, wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego niż przedtem.

Szósta.

Zacisnął mocniej krawat. Park wypełniły odgłosy zbliżającego się wieczoru. Czyjaś matka zawołała: chodź, idziemy do domu. Czułe brzmienie słów: do domu. Rwący ból w okolicy pępka. Odgarnął włosy z czoła, ziewnął i wstał. W prawej ręce aktówka. Czekał przez jedną niezdecydowaną sekundę. Na co? Ruszył, szare plecy schowały się za jednym z drzew. Patrzyłem za nim, aż całkiem zniknął, i to pewnie właśnie

wtedy, w tamtym krótkim momencie, kiedy straciłem go z oczu, westchnąłem tak jak on.

I co z tego. Wzdrygnąłem się. Otrząsnąłem się z niego. Cóż niby miałem wspólnego z człowiekiem, którego i tak już nigdy nie zobaczę? Znow ogarnęły mnie mdłości. Nie do zniesienia: jak patrząc, wmieszałem się w los obcego człowieka. Jakby mnie jakoś dotyczył. Przepełniony znajomym obrzydzeniem strząsnąłem go z rąk i nóg. Tak jak mówiłem, nie miałem jeszcze pojęcia. Tamtego wieczoru, kiedy położyłem się do łóżka, prześcieradło zbijało się w fale, tamtego wieczoru nie miałem bladego pojęcia, dlaczego krótko przed zatonięciem widziałem, jak na ścianie rozkrusza się jego twarz. Dryfowałem w wodach swojej nieświadomości. Przez szparę między zasłonami wpadało światło księżycy.

12

Nie zapomniałem o nim, kiedy następnego dnia ruszyłem do parku. W śnie ukazywał mi się na zmianę jako ziarnko ryżu, papieros, kij bejsbolowy, krawat. Ostatni obraz był rozmazany: mężczyzna w pomieszczeniu bez ścian. Z każdym krokiem obraz bladł, stopniowo go wymazywałem.

Dotarwszy do swojej ławki, poczułem ulgę, że jego jest wolna. Tam, gdzie jadł, nie zostało po nim ani śladu. Ekipa sprzątająca opróżniała właśnie kosze na śmieci. Niedopałki papierosów już zmiotli i wrzucili do plastikowego worka. Nie przypominał o nim ani jeden pyłek popiołu. Park był tak duży, jaki był naprawdę. Na jednym ze źdźbeł trawy, które wyrastały gdzieś z żwiru, lśniła kropla rosy. Schyliłem się po nią, była nagrzana porannym słońcem. Kiedy się wyprostowałem, on zjawił się równie nagle jak poprzedniego dnia.

Rozpoznałem go po chodzie. Trochę krzywym. Jakby chciał kogoś wyminąć. Tak chodzą ludzie przyzwyczajeni do przedzierania się przez rojącą się masę. Miał na sobie ten sam garnitur, tę samą koszulę, ten sam krawat. Wymachiwał aktówką. Powtórka. Usiadł, założył nogę na nogę, poczekał, oparł się. Westchnął. To samo westchnięcie. Wypuścił przez nos i usta kilka kółek dymu. Wszelkie próby wymazania go z pamięci byłyby odtąd daremne. Już tu był, zajął we mnie miejsce, stał się kimś, o kim mogłem powiedzieć: rozpoznaję go.

13

Miał ze sobą kawałek chleba. Mozolnie odwinął go z papieru i zaczął rozrywać na coraz mniejsze połówki, lepić z nich kulki i rzucać gruchającym gołębiom. Usłyszałem, jak mamrocze: to dla was. A kiedy skończył: ksz-ksz. W powietrzu zawirowały białe pióra. Jedno opadło mu na głowę. Zaplątało się w jego zaczesanych do tyłu włosach, nadając mu jakąś figlarność. Gdyby siedział tu w T-shircie i krótkich spodenkach, można by go wziąć za dziecko. Nawet znudzenie, w które popadł w następnej chwili, miało w sobie coś dziecięcego. Kręcił się niespokojnie na ławce. Wiercił piętami w żwirze. Nadymał policzki. Pomału wypuszczał powietrze.

Przypomniała mi się niemrawa wieczność nowego dnia, ciągnącego się w nieskończoność. Pewność, że przemienie, była niczym wobec mdłej melancholii, kiedy upływał, a melancholia, pomyślałem, jest słowem, które obaj mieliśmy wypisane na czole. Łączyło nas. To w nim się spotkaliśmy.

On był jedynym salarymanem w parku. Ja byłem jedynym hikikomorim* w parku. Coś z nami było nie tak. On właściwie powinien być w biurze w jednym z wieżowców, a ja

powiniennem siedzieć w czterech ścianach swojego pokoju. Nie powinniśmy tu być, a już na pewno nie udawać, że jesteśmy tu na miejscu. Wysoko nad nami biała smuga samolotu. Nie powinniśmy patrzeć w górę, w to błękitne, błękitne niebo. Nadałem policzki. Pomału wypuściłem powietrze.

14

Koło południa nadeszli inni tacy jak on. Przychodzili grupkami, siadali na ławkach na uboczu z krawatami przerzucenymi przez ramię i tak siedzieli, każdy ze swoim bentō, wesoło gawędząc. W końcu przerwa, cieszył się jeden z nich, w końcu można rozprostować nogi. Jego roześmiany głos przechodził w śmiech innych.

Czemu nie był z nimi? Zacząłem snuć przypuszczenia. Może tylko tędy przejeżdżał i spóźnił się na przesiadkę. Musiał czekać na. Albo był po prostu. Nie wiedziałem, jak to sobie wytłumaczyć.

Jego bentō składało się tym razem z onigiri*, tempury* i sałatki z glonów. Rozłamał pałeczki, na moment zamarł, ukradkiem potarł oczy grzbietem dłoni. Jego napięta szczęka drżała. Zażenowany zobaczyłem, że płacze. To był zduszony, skrzepowany płacz i tylko ja jeden byłem jego świadkiem. Moje zawstydzenie nie ustępowało: kto płacze w biały dzień? Kto się tak wystawia? A nawet nie tylko siebie, lecz także mnie jako obserwatora! Nie powinien płakać, nie na moich oczach. Powinien zamknąć za sobą drzwi. Powinien to wiedzieć. Że płacz to prywatna sprawa. Przeszedł mnie dreszcz jak na wspomnienie zmiążdżonego na asfalcie ciała. Upiorne. Jak sterczałem obok, ogłupiały z konsternacji. Biała ręka, dziwnie wykręcona, wskazywała na mnie. Ze wszystkich ludzi wokół właśnie na mnie. Żałowałem, że nie jestem ślepy. Krzyczały na

mnie światła karetki. Już nigdy, przysięgłem sobie wtedy, nie będę brać udziału w cierpieniu innej osoby. On to powinien wiedzieć. Że płacz i śmierć to prywatne sprawy.

15

Chrząknięcie. Uspokoił się. Jeszcze przed chwilą drżała mu broda, teraz znów siedział wyprostowany, bez mrugnienia okiem. Z papierosem w ustach poszedł w krzaki. Chrzęst zamka błyskawicznego, raz i drugi. Trzeszczenie gałęzi. Za dużo widziałem. Jeszcze zanim wrócił, zerwałem się z miejsca i uciekłem. Z parku przez skrzyżowanie, koło sklepu wielobranżowego Fujimotów. Do domu. Do mojego pokoju. Zatrzasnąłem za sobą drzwi. Byłem bezpieczny. Migotanie kurzu. Zaciągnąłem zasłony.

Następnego ranka spałem dłużej niż zwykle. Nie usłyszałem budzika w pokoju obok, nie wstałem, zasnąłem jeszcze raz. Śniła mi się niewidzialna nić, która pozbawiała mnie powietrza. Z trudem łapiąc oddech, w końcu się obudziłem. Nic się nie stało. Z tym zdaniem, nic się nie stało, i kolejnymi, nic się nie stanie, nigdy nic się nie stanie, wyszedłem z domu.

Kiedy dotarłem do parku, on siedział skulony nad gazetą. Koło niego puste pudełko po bentō. Chrapał. Tajemnica sukcesu Giantsów, przeczytałem na jego kolanach, przemykając obok. Krawat tym razem rozwiązał. Dyndał mu luźno na szyi. Skręcony włos na karku. Podałem się. I to też była decyzja. Podać się i nazwać tego człowieka, który tu chrapał. Sprawy zaszły tak daleko, że go nazwałem. Nie Honda. Nie Yamada. Ani nie Kawaguchi. Nazwałem go po prostu Krawat. To do niego pasowało. Czerwono-szary.

A więc Krawat.

To ten krawat pana nosi, a nie odwrotnie. Później to był nasz żarcik. Krawat pana nosi. Na co on się uśmiechnął, potem roześmiał, wybuchnął gromkim rykiem. Masz rację. To błąd myśleć, że to ja go noszę. Ja nie noszę nic, kompletnie nic. Po czym raptownie przerwał, a potem milczał, już tylko milczał. Gdybym mógł przewidzieć to milczenie, nadałbym mu inne przezwisko. Jednak dla śmiechu, który poprzedzał milczenie, chyba się opłacało go tak nazwać. Śmiał się o wiele za rzadko.

To imię mnie wobec niego zobowiązało. Podobnie jak wcześniej niejasne współczucie, teraz zacząłem odczuwać jakąś niejasną odpowiedzialność. Być przy nim, nie zostawiać go samego. Co za groteska, czuć odpowiedzialność za człowieka, o którym można już powiedzieć nie tylko: rozpoznałem go. Lecz: znam go. Wiem, jak oddycha, kiedy śpi. Imię mnie uwikłało. Nie miałem już tej wolności, by móc po prostu wstać i odejść. Że też imię posiada taką moc.

Minęło pół miesiąca. Zjawiał się w każdy poniedziałek, punktualnie o dziewiątej, w każdy wtorek, środę, czwartek i piątek. Tylko w weekendy się nie pojawiał. Brakowało mi go wtedy. Tak dalece przyzwyczałem się do jego obecności, że kiedy go nie było, park i moja własna obecność w nim wydawały się bezsensowne. Bez tego, kto zadawał mi pytania, zamieniałem się w pytajnik bez celu. Pośrodku białej kartki, pytający w pustkę.

Pewnego razu w czerwcu, to był ciężki od chmur piątek, właśnie zapadał w drzemkę, kiedy zaczęło mżyć. Ocknął się gwałtownie, nakrył głowę gazetą, podczas gdy ja, zapobiegliwy więzień bez dozoru, rozłożyłem parasol, podwinąłem nogi, cały się skuliłem pod ochronnym dachem. Najpierw kropiło, ale krople szybko zamieniły się w strugi. Wyciągnął przed siebie ręce, gazeta spadła z jego głowy, zamknął oczy. Obserwowałem, jak deszcz zbiera się w jego dłoniach. Ułożył je w miseczkę. Plusk-plask, deszcz na niego pryskał. Byłem zaskoczony. Żaden salaryman nie wystawia się dobrowolnie na deszcz. Park wokół był rozmyty i niewyraźny. Wszędzie uciekający ludzie. Żaden zdrowy człowiek nie wystawia się dobrowolnie na deszcz. Oddany bez reszty, przemoczony do suchej nitki, zdawał się nie znać większego szczęścia, niż tak moknąć. Patrzyłem urzeczony na tę szczęśliwą twarz. Otworzył oczy. Nieoczekiwanie jego wzrok pobiegł przez krople deszczu ku mojemu. Podskoczyłem. Tego się nie spodziewałem. Spojrzenie, które o mnie wiedziało. Nie jestem sam, mówiło, ty tu jesteś. A potem znów zamknął oczy.

18

Wypadłem ze swojej niezauważalności, ze swojej skorupy. Choć to nieprawda. Jego spojrzenie i akceptacja, która przez nie przeświecała, jedynie odrobinę rozjaśniły przestrzeń wokół mnie. Rano pozdrowiał mnie skinieniem głowy. Odpowiadałem tym samym. Wieczorem unosił rękę, kiedy odchodził. Ja unosiłem swoją. Milczące porozumienie. Ty tu jesteś. Ja tu jestem. Obaj mamy prawo po prostu tutaj być.

Zmieniło się między nami tylko jedno. Tak przypuszczałem. Że teraz, kiedy mnie zauważył, stałem się obrazem w jego głowie. Miał już jakieś wyobrażenie na mój temat,